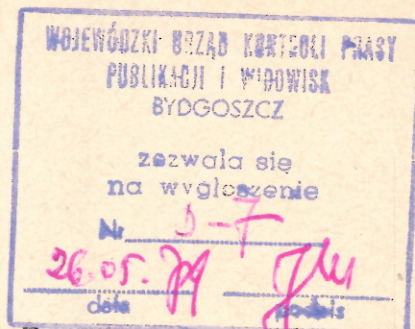


Autor: Tadeusz Korzeniowski

REDAKCJA LITERACKA

731  
Dnia: 27. V. 71  
Godz. 16.32. 16.55

W A L P A C H  
-----



RA. *[Handwritten initials]*

W Sant Niclaus kończy się szosa. Tam też zostawiliśmy, to znaczy dwaj moi szwajcarscy przyjaciele i ja, samochód, którym wczoraj przejechaliśmy przez leżącą na wysokości dwóch tysięcy i stu sześćdziesięciu czterech metrów przełęcz Grimsel, aby następnie gęstymi serpentynami zjechać z boczem skalnej ściany kilkaset metrów w dół do doliny Rodanu, który niedaleko stąd, w pobliżu przełęczy Furka bierze swój początek z alpejskiego lodowca.

Kolejka pracowicie wspinała się coraz wyżej pozostawiając za sobą Sant Niclaus, miasteczko o szarych, niejednokrotnie wykonanych z płaskich kamieni dachach. Tam gdzie podjazd stawał się zbyt stromy, włączało się dodatkowo koło zębate zahaczając o leżącą między szynami zębatkę. Jechaliśmy doliną wyżłobioną przez pracowity, pokryty ciągle białymi wydmywkami piany potok o nazwie visp. Z obu jej stron wznosiły się początkowo łagodnie, a potem jakby nabierając rozpędu strzelały pionowo w górę, gdzie ginęły w rannej mgłę, jakieś zbocza górskie.

733

Gdy usłyszałem, że tamci dwoje mówią po polsku, poczułem się zaszokowany. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się nieprawdopodobnym, aby tam, daleko od kraju, wysoko w Alpach, ktoś mógł mówić moim ojczystym językiem. Bardzo pragnąłem spotkania z nimi. Potem te jej pytania: - Pan z kraju? Pan jest dyplomata?... Nie? Dziennikarzem?... Też nie?... Nie należy pan do partii i pana wypuścili? - bardzo szybko ostudziły mój entuzjazm. On później starał się jakoś to przykre wrażenie zatrzeć. Mówił, że była w Polsce w okresie kultu jednostki, że dużo wycierpiała. Zastanawiałem się, dlaczego mnie właśnie wybrał na powiernika swoich spraw? Jak on to określił? - My się nie znamy. Spotkaliśmy się przypadkowo i tak się rozstaniemy. To mnie ośmiela. - Ciężko mu to stałe noszenie w sobie wydarzeń, które miały miejsce dwadzieścia cztery lata temu, w pierwszym roku wybuchu Drugiej Wojny Światowej. Wiedział teraz, że już nie on sam, lecz i ja także, przynajmniej przez pewien czas, będę nosił w sobie ten kawał jego życia, bolesny, ropiejący wciąż ochłap, na który dla niego nie ma lekarstwa.

735

Kolejka wysunęła się w kotlinę wypełnioną kolorowymi domami. Zermatt. Na dworcu - czerwone, zielone, wielobarwne dyliżanse zaprzęgnięte w konie. Sceneria jak w amerykańskim westernie, jedynie napisy: "Schweizerhof National", "Hotel Mont Cervin" i inne, umieszczone na kolorowych pudłach konnych pojazdów, uprzytomniają mi, że to nie Arizona. Jakaś siwa staruszka karmi kasztana o szerokiej piersi, który postawił czujnie uszy. Siwe staruszki są wzdędie do siebie podobne. Nie brak też dryndulek przypominających nasze krajowe dorożki. Ruszamy "w Zermatt", czyli takie trochę mniejsze Zakopane, których tutaj, w Szwajcarii, jest więcej. Gdzieś w ogrodzie gra orkiestra. Nastrój optymistyczny pomimo niskiego pułapu bałwaniastych cumulusów. Czytamy komunikat meteorologiczny, że wysoko w Alpach jest słoneczna pogoda. Moi sympatyczni Szwajcarzy podejmują decyzję i wyciągają portfele. Zawsze ten gest w wykonaniu mych przyjaciół, Daniela i Gilgiana, wzbudzał we mnie szczery podziw i szacunek. W tym kraju od turystów przede wszystkim i głównie inkasuje się, a nie płaci się za nich. Jedziemy kolejką zębatą na Gornegrat, położony na wysokości trzech tysięcy stu trzydziestu metrów, a więc prawie o pół kilometra wyżej niż najwyższy szczyt w Tatrach!

Zajedziemy tam sobie wygodnie i bez wysiłku. Wolałbym oczywiście tę trasę przebyć pieszo, ale czasu mamy niewiele. Wkrótce potem zatapiamy się w białej, ruchliwej masie mgły. Wciąż prześladowa mnie jego twarz z bruzdami biegnącymi przez czoło, ze smutkiem, który formował się w niej przez długie lata.

Jak długo jeszcze sprawy przeszłe będą w nas odbijały się bolesnym rekoszetem? Pamiętałem dokładnie co mi wczoraj, podczas wieczornego spaceru w Sant Niclaus powiedział. Początkowo jakoś długo nie mógł zacząć, brakowało tego słowa, klucza, który by otworzył szufladę, szufladę z dawnymi aktami przestępstwa, bo z pewnością czuł się winnym tego, co się stało, aż wreszcie potoczyło się jedno, jak tracony w górach kamień, a za nim inne.

- Może mnie pan uważa za psychopatę, maniaka... że tak właśnie postępuję. Ale poprostu ja muszę. Nie wszystko daje się odłożyć ad acta i nie wszystko czas wyrównuje.

Poczęstowałem go papierosem. Zapalił. Trzymał go nieporadnie i często przykładał do ust. Widziałem, że się nie zaciągał.

- Ja zasadniczo nie palę - uśmiechnął się z zażenowaniem, jakby przyznawał się do ułomności. - Nieraz wydaje się, że

739

już przyszło, że nie wróci i nagle w jakimś momencie, bez powodu... Dlaczego tak jest? - zapytał nie oczekując ode mnie odpowiedzi. Widocznie nagromadziło się to w nim jak gęsta ślina, która w pewnym momencie zaczyna utrudniać oddychanie i dalsze przełykanie jest niemożliwe.

- Wie pan, że mną to jak z taką figurką z drewna, zewnątrz gładka i pomalowana, a wewnątrz korniki.

Czego szukał? Usprawiedliwienia, potępienia, sądu o jakichś tam wydarzeniach, rady, a może po prostu tylko chciał mówić, być słuchanym? Czy kłamał? Ale dlaczego mi tak zależy na znalezieniu prawdy? Zawsze to obsesyjne dociekanie głębiej, poza wszystkie skorupy, aż do samego ziarna, i zawsze rozbijanie się o nieznaną myśl innego człowieka, jego odczuć. Tam gdzie się trafia na czyjeś relacje, tam kończy się pewność, co jest prawdziwe, a co nie. Liczą się tylko fakty. Banalne! Fakty też przecież można stwarzać sztucznie, różnie interpretować, kryć lub zacierać. A więc ciągle niepewność? Trochę schlebiało mi, że właśnie mnie wybrał do swoich zwierzeń, ale zdawałem sobie także sprawę, że wpłynął na to specyficzny zbieg okoliczności. Szczerze chciałem mu pomóc.

749

Byłem bliski poczęstowania go jakimś gładkim, wyslizganym zwrotem w rodzaju: "Jeśli mógłbym panu w czymś"... itd, ale na szczęście nie powiedziałem tego, zreflektowałem się, że byłoby to tania deklaratywność jakiej na co dzień pełno, że byłoby to w tamtej sytuacji po prostu niezręczne. Milczenie uznałem za najlepsze ułatwienie nieznanemu jego trudnych enuncjacji.

Gdy go zwolniono z gestapo, pod warunkiem, że w zamian za siebie dostarczy nazwiska i adresy dwóch innych, był przekonany, że ich żądania nie spełni. Niepotrzebnie zwierzył się z tego swojej matce. To był jego błąd. Nie powinien był tego robić.

- Gdybym wtedy o tym jej nie powiedział - uśmiechnął się - teraz bym z panem nie rozmawiał.

Potem głowę odwrócił jakby nie chciał widzieć mojej reakcji i dodał jednym tchem, szybko, tak jak się zrywa przyklepiec z opatrunkiem:

- To nie był mój jedyny błąd.

Zamilkł i czułem, że myśli zamienione w słowa, które chciał ze siebie wyzwolić, grzęzły mu w zgęstniałej ślinie, ciężaki w gardle, były jak zwierzęta, które ktoś chciał wydobyć z nory.

- Obiecałem im, że tych dwóch będą mieli, że dostarczę adresy, nazwiska. Chciałem się stamtąd wydostać, chociaż na chwilę.

Pan tego nie zrozumie. Ani przez moment nie myślałem, że dotrzymam danego im słowa. Czy pan mi wierzy? - zapytał nagle odwracając głowę i przypatrując mi się z napięciem.

- Wierzę - odparłem szybko, starając się, aby moja twarz i głos potwierdzały moją wypowiedź. Widocznie "badanie" wypadło pomyślnie, bo powiedział - Dziękuję.

Zresztą wierzyłem mu naprawdę, ale czasami człowiek może tak jakoś się zachować, uczynić jakiś niekontrolowany ruch ręki, grymas twarzy, załamanie głosu, a interpretacja tego może być przez rozmówcę zupełnie inna niż nasze intencje i rzeczywiste odczucia. Twarz jego zwiotczała, jakby jej topografię ustalały napięte liny, formując ją właśnie w takim kształcie i jakby ją nagle popuszczono. Może tam, w nim, następowały w owej chwili jakies przesunięcia, jakies nowe ustalenia? Może z nim było tak, jak z chorym, który mając złamaną nogę leżał długo na wyciągu i oto pewnego dnia zdjęto ostatnie ciężarki. Ale czy ostatnie? Czy będzie mógł chodzić?

765

- Miałem wtedy osiemnaście lat. Bałem się śmierci. Nie tej zawartej w ryzyku. Gdy się ryzykuje, najczęściej się nie myśli, działa się pod wpływem impulsu. Zgłosiłem się na ochotnika, gdy to się w trzydziestym dziewiątym zaczęło. Bałem się czekania na śmierć. W celi. Wtedy bardzo chciałem żyć.

Szliśmy krętymi, opadającymi w dół, to znów stromo wspinającymi się uliczkami Sant Niclaus. Przyszło mi na myśl, czy on się już komuś z tego zwierzał, czy też "donosił" toż aż do tej chwili?

- Jeśli to był z mej strony świadomy akt woli, bo liczyłem, że w ten sposób się uratuję, to jestem łajdakiem, gorzej...

Niestety, nie pamiętam.

Spotkał matkę na gestapo, a gdy go zwolniono, dowiedział się o aresztowaniu dwóch swych bliskich kolegów i o egzekucjach w pobliskim lasu. Nie wrócił do domu. Ochotniczo zgłosił się na roboty do Niemiec. Na listy matki nie odpisywał. Po wojnie pozostał na stałe w Anglii, tam się też ożenił i tam przyszła do niego wiadomość o jej śmierci.



- Postępowałem tak, jakby matka była temu winna, jakbym swoim postępowaniem chciał wymierzyć sprawiedliwość, wyrównać stratę dwóch synów tamtej matce. Ale jeśli moja matka zrobiła to dla mnie, bo wyczuła, że ja sam nie potrafiłbym tego dokonać, chociaż chciałem... chciałem uratować to zafajdane osiemnastoletnie życie, a później jeszcze odwróciłem się od niej, i jeśli nie spowodowałem, to na pewno przyspieszyłem jej odejście, to... to jest coś czego nie mogę sobie wyobrazić, nazwać... to jest potworne.

Zatrzymał się i oparł o róg domu. Gdy tak stał pochylony, szczerze mu współczułem. Położyłem rękę na jego ramieniu i chociaż wiedziałem, że to co wygłoszę nie będzie zupełnie szczerze, powiedziałem jak najbardziej przekonująco:

- Wierzę, że powiedział pan to wtedy podświadomie -  
i dodałem - ja bym na pańskim miejscu zrobił to samo.

Nieznajomy nie patrząc mi w oczy, uścisnął mi dłoń.  
Mgła, w której kolejka wspinała się wciąż wyżej i wyżej, zaczęła stawać się coraz to jaśniejsza, jakby ktoś do białej przędzy dosypywał złotego piasku i nagle tu i ówdzie zaczęły ukazywać się całe połacie ziemi i skał, dotkniętych żółtymi, ciepłymi barwami

769

słońca. Wyglądało to, jakby patrząc przez obiektyw aparatu  
nastawiało się powoli ostrość obrazu. Spjrzałem do tyłu i uczułem,  
że raptem brakuje mi powietrza. Z mgły, wysoko gdzieś ponad nią,  
jakby zawieszona w oparach, pojawiła się potężna, czarna,  
z białymi plamami śniegu bryła szczytu, z wierzchołkiem lekko  
podciętym, a przez to jakby pochylonym. Wyglądała jak grot  
wyrzucony w górę, który ugodziwszy niebo, skrzywił się i tak  
pozostał. Zaraz też samego wierzchołka góry uczeplił się obłok,  
tworząc jakby ś fantazyjny pióropusz. To Matterhorn. Oprzytomnia-  
łem dopiero słysząc trzaski aparatów fotograficznych. Wychyliłem  
się przez okno i zrobiłem kilka zdjęć. Widoczność z chwili na  
chwilę poprawiała się i ze wszystkich stron zaczęły dookoła  
wyłaniać się ogromne masywy gór pokrytych mniejszymi lub więk-  
szymi płaszczyznami lśniących śniegów. Dojechaliliśmy wreszcie  
do końcowej stacji. Mija druga godzina pobytu w schronisku  
Cornergrat. Nasze twarze są brązowe. Żal jest zjeżdżać na dół,  
ale niestety wszystko się kończy. Powrót i jeszcze spacer tym  
razem w słonecznym już Zermacie. Na wieczór zjeżdżamy kolejką  
do Sant Niclaus.

757

I znowu stoję na tarasie drewnianego domu, w którym wynajmujemy pokój. Wczoraj, tutaj właśnie, poznałem ich, moich rodaków. Szybko zapadający mrok granatowieje na zalesionych zboczach górskich i przynosi chłodne, pachnące lodem i żywicą powietrze. Gdzieś wysoko, z prawej strony zapaliło się na szczycie czerwone światło. W pobliżu przejeżdżał samochód. Jasne plamy świateł przesuając się w mroku ukazywały wyraźne kontury kamieni tworzących wysokie podmurówki domów oraz duże płaskie głazy oparte na kamiennych słupkach, kształtem przypominające grzyby, na których ustawione były spichrze. Ma to zapobiegać przedostawaniu się do wewnątrz szkodników.

Gdyśmy się wczoraj żegnali powiedział:

- Mogłem... musiałem przewidzieć, że moja matka to zrobi, aby mnie uratować. Nie powinienem był jej tego mówić - i dodał - pan wraca do kraju... jutro dam panu list do tej kobiety, matki tych dwóch. Niech pan jej powie, że to nie moja matka, tylko... Resztę napiszę w liście. Czy pan to zrobi dla mnie?

Zgodziłem się. Pierwszą rzeczą jaką spostrzegłem, gdy dzisiaj rano wyjrzałem przed dom, był brak na parkingu ich samochodu.

Gdy spytałem właścicielkę pensjonatu, czy zostawiono dla mnie jakiś list, odpowiedziała przecząco.